

wana nauczycielska osoba, wyprosiwszy u głowy rodziny chuderławą świecę, albo dychawiczną lampę przez godzinę nauczała dziecko, czyniąc to w pośpiechu, gdyż jeszcze ich troje, czy czworo, czekało w innych spelunkach i norach na „panią”. Proste kobieciny patrzyły na nią w niemem zdumieniu, a mężczyźni patrzyli w nią, jak w obraz, co ją niezmiernie, podobno, gniewało, bo miała twarz nieforemną i przez niebywałą lekkomyślność, wcale nie namalowaną. Nie mogła jednak temu przeszkodzić, że gdy ją zabrano do szpitala, ludzie w zaułkach stali się ponurzy i chmurni. A dzieci długo, długo czekały, jak to dzieci; ona jednak już nigdy nie przyszła. Biedna, dobra, bohater-ska nauczycielka, co podtrzymywała ścianę... Zapiszmy ją na promienistej liście.

Tuż obok zapiszmy jednego księdza na Polesiu, o którym mówił mi wilgotnemi słowami dostojny człowiek, sam należący do bractwa Wielkiego Serca. Ten ksiądz, srebrny staruszek, opowiadał o Bogu Miłosiernym w nędznej wioszczynie, zagubionej wśród poleskich błot. Mieszkał, jak pustelnik, biedniejszy od pustelnika. W tym kraju, uroczym i ślicznym na obrazkach, owianych rozlewną tęsknotą, głód żywi nędzę, a nędza karani głód. Boży sługa zaś żywi się tem, co mu ofiarują dobrzy ludzie z jego wioski, przeto staruszek ksiądz nie widział nigdy innego dnia, prócz piątku, który, jak wiadomo -- jest dniem głodnym. Zdarzało się jednak, że ten i ów, przynosił ukochanemu przez wszystkich księdzu, rybę, lub kawałek chleba, srebrne i złote bogactwo. I cóż się okazało? Okazała się cała przemysłna przewrotność tego srebrnego człowieka. Oto w mroku, wymykał się z domu i chyłkiem, rozumiejąc, że czyni rzecz zdrożną, niósł tę rybę i ten chleb do największych nędzarzów, leżących bez ruchu w kurnych chatkach, w których przez całe lata nikt nie poczuł cudownej woni chleba. Biedni dawali, a on — o, chytry! — oddawał to jeszcze biedniejszym. Przewrotność ta zemściła się szybko, gdyż stary ksiądz osłabnął z głodu i z głodu zaczął omdlewać: duch byłby od niego odleciał jak biały gołąb, gdyby nie zjawił się z ratunkiem inny człowiek w duchownej szacie, który niezręcznie udawał, że go gromi i roztropnemi w niego bił słowami — „E! — powiedział uparty staruszek, — sam byś też, bracie, tak robił”.

Jest to serce niepoprawne i kiedyś głodowa śmierć je dopadnie, jak jastrząb gołębia.

Rzecz dziwna, jakie ci dobrzy ludzie mają pomysły; na oko, nie umieliby zliczyć do trzech, niezwykłą jednak okazują pomysłowość, gdy trzeba ocalić zrozpaczone życie, łaknącego nakarmić, albo odziać nagiego. Mogą wzbudzić niesmak swoją brutalnością, doprawdy! Widziano raz jednego, jak się taki człowiek znęcał nad niewinnem dzieckiem. Mój przyjaciel, który mieszkał na Starem Mieście, opowiadał mi o tem ze wzburzeniem. Przed kamienicą Baryczków usuwano zwały śnieżne, za co zapewne płacą grube talary, sądząc po tem, co uczynił jeden z robotników, zbrojnych w łopatę. Ujrzał małego smyka, który, zapewne przez snobizm i zbytek oryginalności, nie rozumiejąc całej

śmieszności swego stroju, brnął przez śnieg w ogromnych buciarach, smutnych i zgorzkniałych, jak oblicze materialisty, wdzianych na boscie nogi, których gołizna sięgała do kolan. Nożyny te miały barwę czerwono-siną, co musiało rozdrażnić owego człowieka tembardziej, że barwę tę miały i ręce i twarz. Mróz trzął tym bakiem, jakby chciał z niego wytrząść życie. Robotnik rzucił łopatę i krzyknął na chłopca, żądając bezprawnie, aby z nim gdzieś poszedł, przeciw czemu brzdąc gwałtownie zaprotestował i chciał uciec przed napaścią. Brutalny człowiek, któremu bogactwo zapewne uderzyło na mózg, schwytał go podstępnie, mocno ujął za kark i powiodł ofiarę do najbliższego sklepu, w którym głośnie zawrzały krzyki. Po chwili wyszedł z niego robotnik, zwycięsko uśmiechnięty, a za nim ogłupiały, przerażony, niebotycznie zdumiony chłopak z pończochami na nogach i z rękawiczkami na rękach. Nie wiem, jak ta historia wyglądałaby, gdyby tego robotnika oskarżono o przemoc, pewnem jest jednak, że Pan Bóg pilnie mu się przyjrzał.

Zanotowałem jeszcze siedem takich niepo czytanych wypadków, których już nie przytaczam, mógłbym bowiem wzbudzić powątpiewanie w ludziach zrównoważonych. Wspomnę o jednym jeszcze. Zdarzył się on pewnemu pisarzowi (wzrost średni, oczy niebieskie, nos zgoła nieproporcjonalny, owłosienie, niżej psa) — który otrzymał taki list: — „Nie mam się czem odwdzińczyć za tę pańską książkę, wczoraj przeczytaną, bo jestem biedną szwaczką. Ale niech mi pan pozwoli najdroższy panie, abym panu zadarmo naprawiła bieliznę”.

Pisarz ten wcale nie potrzebował tej ofiary i bardzo, bardzo śmiał się z tego listu. Tak się śmiał, że w tem miejscu, gdzie cudowna dziewczyna zapomniała postawić kropki, ukazała się śmieszna kropelka. Niema bowiem śmieszniejszych ludzi, niż — dobrzy ludzie. To zaś jest najdziwniejsze, że ich jest wielkie mnóstwo.

Kornel Makuszyński.

Odblaski Serca Bożego!

Przyjęcie 400 dzieciaków w dniu I-ej Komunii św. z całą gościnnością hojnym śniadaniem i zaopatrzeniem kilkadziesiątorga dzieci w ubranka i bieliznę przez Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia i inne osoby dobrej woli — to tryumf miłującego Serca Boga — Człowieka! To spełnienie wielkiego nakazu: Cokolwiek uczyniliście tym małuczkim — mnieście uczynili!

A dwadzieścia dwie osoby, które w ciągu dwóch dni poszyły bezinteresownie ubranka dla biednych dzieci przystępujących do I-ej kom. św. — otóż czy serca tych osób nie były w takt Boskiego Serca Jezusa?

Dlatego składamy im na tem miejscu cześć!